

MENUWEA

Dariusz Górkiewicz

MENUWEA



*Dziękuję mojej kochanej żonie Bożence za miłość,
wrozumiałość oraz wszystkie cenne wskazówki,
jakich mi udzieliła podczas pracy nad tą powieścią*

Pamięci rdzennych kultur

Człowiek w zniszczonej pelerynie twierdził, że zbliża się huragan. Zbyt wiele już przeszli tej nocy, żeby mu nie wierzyć. Ona pociągała nosem, jakby nie miała siły płakać, w rękach trzymała niemowlę. Jej partner, obejmując ją, szeptał słowa pociechy. Tej nocy stracili dziecko.

Tej nocy odzyskali dziecko.

Mężczyzna w pelerynie dał znak i ruszyli. Przestrzegł, żeby się trzymali blisko niego. Wędrowali ścieżką, która pomału zanikała w postępującym zmierzchu. Było gorąco i bezwietrznie, dookoła panował spokój. Wiedzieli jednak, że w namorzynach czają się krokodyle.

– Wasze dziecko żyje. Przyjechaliście, żeby dokonać cudu i udało się wam, prawda? – zapytał, nie oczekując odpowiedzi. Kiedy ona spróbowała jednak odpowiedzieć, uniósł rękę i ją powstrzymał. Nie było na to czasu. – Przybyłaś aż tutaj, bo wiedziałaś, że to twoja jedyna szansa. Ja zrobiłem, co mogłem. Macie upragnionego syna. Ale o jednym musicie pamiętać. Nigdy więcej tu nie przyjeżdżajcie. Wasz kraj za oceanem będzie dla niego wystarczająco dalekim miejscem. A teraz

posłuchajcie mnie uważnie. To, co teraz powiem, jest bardzo ważne. Chodzi o jego bezpieczeństwo. Gdy będzie już starszy, to nie róbcie tego, co zwykle czynią rodzice. Nie czytajcie mu żadnych bajek, opowieści fantastycznych czy legend. Niech szybko się dowie, że święty mikołaj czy krasnoludki nie istnieją, a dobre wróżki to fantastyka, rozumiecie? Niech wyrośnie na małego mądrałę. Takie dzieci może nie są zbyt lubiane, ale on dzięki temu będzie bezpieczny. Nie pozwalajcie mu rozmawiać ze zwierzętami, roślinami czy niewidzialnymi przyjaciółmi. Jeśli nie będzie wierzył w nic, co magiczne, to i moc go nie odnajdzie. I nie wracajcie nigdy na Chinchorro. Jeśli to wszystko zrobicie, ocalicie więcej niż jedno życie. Jeszcze jedno: jeśli możecie, dajcie mu na imię Mauricio.

- Po polsku to będzie Maurycy - powiedziała kobieta.

Dotarli na brzeg morza. Gwiazdy odbijały się w ciemnej wodzie, tak że trudno było rozpoznać, gdzie kończyło się niebo, a zaczynała ziemia. Przed wejściem na pomost, przy którym cumowała łódź, czarownik zatrzymał oboje.

- Zmieszamy krew - powiedział. - Wyciągnijcie lewe dłonie, a później odśłońcie barki, u dziecka też. Nie ma silniejszej ochrony - Człowiek w zniszczonej pelerynie wyjął mały nożyk. - Poza tym, gdybyście

potrzebowali pomocy, dzięki temu ja usłyszę wezwanie. Dzisiaj polujący nie dostali chłopca, ale niebezpieczeństwo wciąż jest blisko.

Po kolei nacinali miejsce pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, a gdy krew się pojawiła, ściskali sobie dłonie. Dziecko tylko westchnęło. Potem czarownik przeciął im skórę pomiędzy barkiem a klatką piersiową. Klęknął, zbliżył dłoń do ziemi i strząsnął czerwoną posokę. Mogli ruszać.

Gdy dotarli do małej zatoki, łódź już na nich czekała.

- Nocą tylko on przewiezie was na stały ląd. Kto inny rozbiłby się na rafach. Płyńcie, a potem opuśćcie wybrzeże, wróćcie do swojego kraju. I obyśmy nigdy więcej się nie spotkali.

Czarownik zapewnił, że chłopiec ma duszę ich syna, a tylko to się liczyło. Potem pożegnali się pośpiesznie i weszli na pokład.

Kobieta i mężczyzna przysiedli na rufie. On czule przytulił kobietę.

- Wszystko będzie dobrze, najdroższa - powiedział, głaszcząc jej drobną dłoń.

- Wiem, kochanie, wiem. Mam tylko nadzieję, że nie pójdziemy za to do piekła.

Mężczyzna roześmiał się, ale w tym śmiechu niewiele było wesołości.

KSIĘGA I

ZIEMIA

1. PIERWSZE NIEPOKOJĄCE ZNAKI

Od dnia, w którym Maurycy wypłynął w noc, uciekając przed huraganem i przed tymi, którzy mieli na niego zapolować, minęło dziesięć lat. O tym, że urodził się w Meksyku i spotkał czarownika Indian, nie wiedział nic. I nawet gdyby mu ktoś dzisiaj o tym opowiedział, nie uwierzyłby. Od lat nie wierzył już w mikołaja, krasnoludki, dobre wróżki i wiele innych rzeczy. Czarownika Indian z pewnością potraktowałby podobnie. To zapewne było przyczyną, dla której nie miał przyjaciół – nikt nie chciał się przyjaźnić z chłopcem, który w nic nie wierzył.

Świat Maurycego był bardzo przewidywalnym miejscem. Wszystko w nim dało się wyjaśnić, a jeśli było inaczej, to oznaczało, że nie warto było się tym zajmować. Tata nazywał rzeczy niewyjaśnione banialukami. Banialuki na przykład wypełniały książki dla dzieci, w których to Maurycy znajdował same kłamstwa. Pierwszą oznaką, że książka jest nic nie warta, były rysunki: zawsze nieprawdopodobne i niemające nic wspólnego z prawdą. Książki, które lubił oglądać, były wypełnione fotografiami. Chłopiec

z przyjemnością wertował różnego rodzaju albumy ze zdjęciami. A najbardziej podobały mu się takie, które naprawdę przydawały się do czegoś. W swoim pokoju na półce z książkami, oprócz szkolnych podręczników, miał trzy ulubione tytuły. Pierwszym z nich był *Zrób to sam*, książka dla majsterkowiczów, z której przepisów wykonał wiele przydatnych rzeczy, na przykład wirujący bączek czy żołnierza z ruchomymi rękami i nogami. Miał zestaw narzędzi do majsterkowania i dłuta do rzeźbienia. Drugą bardzo przydatną książką było *Origami dla każdego*. Tworzył z papieru całe gromady najróżniejszych zwierząt, które potem ustawiał na półce. Ostatnią książką, jaką posiadał, była *Matematyka w astronomii*. Tę potrafił studiować godzinami. Zachwycaly go w niej zdjęcia gwiazd, planet i odległych galaktyk. Były tam także równania matematyczne, na przykład opisujące niesamowite wprost odległości czy masę ciał niebieskich, czyli ciężar planet. Te zadziwiające liczby mówiły, dlaczego ludzie nie mogą latać, co to jest przyciąganie ziemskie albo dlaczego na Księżycu można skakać dużo wyżej niż na Ziemi, a do tego skok ten będzie wyglądał jak w zwolnionym tempie. Żaden wymyślony przez ludzi święty mikołaj nie mógł się z tym równać. Światem Maurycego były liczby, zagadki astronomiczne oraz majsterkowanie i origami.

Czasem zastanawiał się, czy na innych planetach też mieszkają ludzie? Jednak na razie astronauta dolecieli tylko do Księżyca.

Maurycy lubił, kiedy wszystko działo się tak jak zwykle. Rano po śniadaniu szedł do szkoły, po południu wracał do domu. Jadł obiad, potem odrabiał zadane lekcje i do wieczora miał czas wolny, który poświęcał na przykład na majsterkowanie. Dwa razy w tygodniu uczęszczał też na zajęcia pływackie. Wieczorem oglądał wiadomości z rodzicami. Dobranoczek nie lubił, gdyż one, tak jak książki dla dzieci, zawierały same kłamstwa. Kiedy przychodziła jego pora odpoczynku, zwykle między dziewiątą a dziesiątą wieczorem, kładł się spać. I tak pięć dni w tygodniu. W weekendy odwiedzał ciocię z wujkiem albo dziadka. Dziadek był bardzo stary i Maurycy trochę się go bał. Podczas tych odwiedzin Maurycyego nikt nie przytulał, nie brał na kolana, ciocia z wujkiem mówili wręcz, że chłopiec jest dziwny. Z tego powodu Maurycy nie lubił tych wizyt. Najlepiej czuł się w swoim pokoju, sam ze sobą.

Większość wolnego czasu spędzał samotnie. Czasami marzył o przyjacielu i zwykle wtedy było mu w tej całej samotności źle. Ale chwile smutku nie trwały długo. Gdy przychodziły, chłopiec brał się za

majsterkowanie albo składanie origami i te zajęcia tak go pochłaniały, że zapominał o całym świecie.

I mogłoby się wydawać, że był chłopcem nad wiek praktycznym i racjonalnym, ale nie była to cała prawda. Otóż Maurycy miał sekret, którym kiedyś podzielił się z rodzicami, ale nie spodobało się im to, co usłyszeli, dlatego zabronili mu w ogóle o tym mówić. A kiedy spróbował opowiedzieć rówieśnikom, oni wyśmiali go i zaczęli trzymać się od niego z daleka.

Wszystko zaczęło się od przeprowadzki do domu z ogrodem położonym na peryferiach Olsztyna niedaleko Lasu Miejskiego. Dla Maurycego przydomowy ogród stał się idealnym wypełnieniem samotności. Nie był duży, jednak rosło tam kilka śliw i jabłoni, jeden wielki orzech włoski, a wszystko otaczały krzewy czarnych i czerwonych porzeczek, za którymi wyrastał wysoki i gęsty żywopłot. Dla chłopca było to miejsce dzikie, fascynujące i pełne najróżniejszych owadów, które mógł obserwować godzinami. Chłopiec polubił ogród od razu, gdy go zobaczył.

Od tego momentu, jeśli tylko pozwalała na to pogoda, czas wolny spędzał w ogrodzie. Tam, siedząc pod śliwą, czytał swoją książkę o matematyce w astronomii. A gdy mu się znudziło, zajmował się obserwacją mrówek, które miały swój mały kopiec pod

orzechem. Z zachwytem patrzył na biedronki i motyle. Poczul szczególną więz z drzewami, przytulał się do nich i przemawiał.

Pewnego razu zasnął, siedząc pod drzewem. Śniło mu się, że rozmawia z biedronkami i mrówkami. Wkrótce już rozmawiał z nimi także na jawie. Kolejne sny miał coraz bardziej niezwykle, spotykał się w nich już nie tylko ze znanymi z ogrodu stworzeniami, ale coraz częściej też z różnymi zwierzętami a także z niezwykle istotami, których nigdy wcześniej nie widział, nawet w książkach. Czasem sny pamiętał, czasami nie. I to był moment, gdy jego racjonalny i uporządkowany świat zachwiał się. Wreszcie opowiedział o wszystkim mamie i zapytał, czy świat we śnie jest prawdziwy. Mama bardzo się przestraszyła i oznajmiła, że wieczorem usiądą wszyscy w salonie i porozmawiają.

Po kolacji mama przygotowała wielki dzbanek malinowej herbaty, a tata wyjął z szafki ciasteczka owsiane. Maurycy nakrył stół w salonie. Wprost nie mógł się doczekać, aż zaczną. Czy rodzice potwierdzą, że świat w snach jest prawdziwy? Przecież był taki wyraźny, a do tego nie pochodził z ekranu telewizora, tylko z jego własnej głowy. A może we śnie odbywa się prawdziwe podróże?

Wreszcie usiedli wszyscy razem na jednej kanapie; Maurycy pomiędzy mamą i tatą, tak jak lubił.

Tata miał na imię Marcin był bardzo wysokim mężczyzną, szczupłym, dobrze zbudowanym i zwykle chodził w sztruksowej marynarce. Maurycemu szczególnie podobały się tatowe wąsy, które były naprawdę imponujące. Nikt nie miał takich wąsów jak tata.

Chłopiec patrzył, jak tata rozkłada ciasteczka na porcelanowym talerzyku.

Mama miała na imię Magda była przeciwieństwem taty – oczywiście nie tylko dlatego, że nie miała wąsów. Była bardzo drobna i niższa od taty o głowę. Lubiła sukienki w kwiatki, a jej szczupłą, łagodną twarz przeważnie ozdabiał lekki uśmiech. Teraz nalewała herbatę do kubków, a Maurycy czekał.

Bardzo lubił tak siedzieć pomiędzy rodzicami. Podobało mu się też to, że gdy mieli porozmawiać o czymś ważnym, zawsze rozmawiali we trójkę. Mało ważne rzeczy mógł przegadać tylko z mamą albo tatą, ale takie niezwykle, jak istnienie innych światów oczywiście musieli wyjaśnić razem. Maurycy wiedział, że w ludzkim świecie na nic niezwykłego liczyć nie można, ale w snach wszystko było możliwe.

Kiedy już parujące kubki gorącej malinowej herbaty stały na stole, a ciasteczka owsiane tylko czekały, żeby je sobie nałożyć na talerzyk, mogli rozpocząć rozmowę.

Rodzice pierwsi zadali pytanie. Chcieli dowiedzieć się, co też takiego Maurycy zobaczył we śnie, że wydało mu się to prawdziwe.

Chłopiec opowiedział, że spotkał biedronkę, z którą rozmawiał, potem mówił o czerwonej mrówce, która w ogóle nie była groźna, tylko zabawna. Poza tym owady w snach były niewiele mniejsze niż on sam. A pewnego razu do rozmowy włączyło się też stare drzewo śliwy. Rodzice słuchali, nie przerywając, a potem odezwała się mama.

- Maurycy, kochany synku, to tylko sny.

Chłopiec spojrzał na tatę, który, kiwając głową, powiedział:

- Mama ma rację. Poza tym nie mów: „spotkałem”, tylko: „przyśniło mi się”. Czasem sny są wyraźne, ale to nic nie znaczy. I to chyba na szczęście dla nas. Pamiętasz, jak śniły ci się koszmary i budziłeś się z płaczem? Na szczęście to wszystko tylko sny.

Tak, Maurycy pamiętał, że kiedyś miewał koszmary, ale po pierwsze od dawna już się nie zdarzały, a po drugie – było ich bardzo niewiele. Dobrych snów było zdecydowanie więcej. I wtedy przyszło mu coś do głowy.

- Ale mamó, tato, one się powtarzają, te sny, ta biedronka, z którą się spotykam, ona ma nawet imię. Chcecie, to wam opowiem...

- To nic nie znaczy, Maurycy - przerwał mu tata. - I jeszcze raz powtarzam: nie mówi się „spotykam we śnie” tylko „przyśniło mi się”. Sam zawsze powtarzasz, że cudowne rzeczy nie istnieją. Co się nagle stało? Przecież zawsze byłeś takim mądrym chłopcem. Ludzie nie mogą rozmawiać z biedronkami, a biedronki nie mają imion.

Maurycy do swoich rodziców miał pełne zaufanie, wierzył w ich słowa i nagle poczuł ogromny smutek. Zatem sny także musiały należeć do kategorii banialuk.

Gdy następnego dnia wyszedł do ogrodu, odszukał znajomą biedronkę. Patrzył na nią z daleka, nie odzywając się. Mały owad chodził po kępie trawy niedaleko krzaka czerwonej porzeczki. Teraz już nie było w nim nic niezwykłego. Biedronka była zwykłym owadem, nie zwracała na chłopca najmniejszej uwagi. Zatem rodzice mieli rację.

Lubił przytulać się do drzew. Czasem, gdy dotykał policzkiem chropowatej kory śliwy, patrzył w górę na koronę drzewa i marzył o przyjacielu, ale

gdyby go ktoś o to zapytał, zaprzeczyłby, nie przyznałby się, że czegoś mu brakowało.

Któregoś dnia zauważył, że w gałęziach śliwy zamieszkały motyle i od tej pory często je tam widywał. Wydawało mu się nawet, że dwa z nich go obserwują, ale zaraz odegnał od siebie te myśli. Czasem miał przeczucie, jakby te motyle chciały z nim porozmawiać, a nawet wydawało mu się, że gdzieś już je widział, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie. Wiedział tylko, że te motyle to pазie żeglarze, bo sprawdził w encyklopedii.

Maurycy składał z papieru własne motyle i nie próbował już rozmawiać z żadnym stworzeniem w ogrodzie, nawet z rodziną myszy, którą wypatrzył w najbardziej skrytej jego części – za małym składzikiem na narzędzia, zaraz za dzikimi krzewami, którym tata pozwolił tam rosnać. Tata uważał, że takie dzikie kępy traw czy krzaki są ważne dla ekosystemu. Wy tłumaczył, że ekosystem to wszystko, co nas otacza. Mówiąc językiem Maurycego – tata dbał o to, żeby owady i różne małe stworzenia miały gdzie mieszkać. Przez jakiś czas Maurycy miał nadzieję, że może ktoś z jego małych przyjaciół będzie chciał nawiązać z nim kontakt, że może tata z mamą się mylili. Jednak nic takiego nie nastąpiło.

Mieszkali w małym domu na północy kraju, na obrzeżach miasta. Ich ogród przylegał do Lasu Miejskiego, a cień rzucany przez tamtejsze drzewa powodował, że jesienią, chociaż w mieście trawa była ciągle świeża a krzewy zielone, w ich ogrodzie jakby wszystko wcześniej zasypiało.

Nadszedł listopad, świat zrobił się zimny i wilgotny. Liście opadły z drzew i krzewów, owady zniknęły i nawet rodzina myszy gdzieś się wyniosła. Maurycy przestał wychodzić do ogrodu. Czasem przez okno swojego pokoju na piętrze patrzył w stronę niedalekiego lasu, jednak o tej porze roku czas wolny wolał spędzać w ciepłym domu, składając z papieru różne zwierzęta. Potrafił tak siedzieć na dywanie godzinami, tworząc całe stada żurawi, nosorożców czy motyli. Czasem wydawało mu się, że papierowe ptaki latają po całym pokoju albo że zwierzęta biegają dookoła niego, zapraszając do wspólnej gry. Chłopiec niekiedy włączał się do zabawy, ale robił to rzadko. Wiedział, że nie spodobałoby się to rodzicom. Przecież jeśli zwykłe zwierzęta nie rozmawiały z ludźmi, tym bardziej papierowe nie powinny biegać i latać. Rozumiał, że to tylko jego wyobraźnia płata mu figle.

Maurycy nie był zbyt pilnym uczniem, chociaż uczył się dobrze. Zimą, gdy nie mógł zbyt wiele czasu spędzać na powietrzu, nawet lubił chodzić do

szkoły. W czwartej klasie było kilka przedmiotów, które go interesowały; najbardziej do gustu przypadły mu geografia oraz biologia. W geografii podobało mu się to, że nauczyciel mówił o egzotycznych miejscach, takich jak Ameryka czy Australia. Uwielbiał słuchać i uczyć się o dalekich krainach. Zapamiętywał nazwy rzek, stolice państw, odnajdywał je potem na mapach, co sprawiało mu dużą radość.

Zwykle siedział sam w ostatniej ławce, przy oknie. Starał się być skupiony, bo kiedyś, gdy częściej się zamyślał, pani nauczycielka zagroziła, że przesadzi go do pierwszego rzędu. Sam się do odpowiedzi nie zgłaszał, ale zapytany przeważnie odpowiadał chętnie i na temat.

W klasie Maurycy był niezauważany. Niczym się nie wyróżniał, a dzieci odsunęły się od niego już w pierwszej klasie, gdy okazało się, że Maurycy wie więcej niż one. Jako pierwszy okrył, że święty mikołaj nie przynosi prezentów, krasnoludki są tylko w bajkach, a czary mary i iluzjoniści to zwykle oszustwo. Z kimś takim dzieci nie chciały się przyjaźnić. Akceptowały go, ale nie zapraszały do wspólnych zabaw.

W klasie był jeden złośliwy chłopiec, który czasem próbował Maurycemu dokuczać. Miał na imię Herman i nie był lubiany w klasie. Jednak Maurycy najczęściej

nie reagował na te zaczepki, dlatego Herman ofiar swoich żartów zwykle szukał wśród innych dzieci.

Maurycy mimo wszystko szkołę lubił. W poprzedniej klasie zaczął się uczyć języka angielskiego i chociaż jemu najbardziej podobał się hiszpański, bo był miły dla ucha, to rodzice przekonali go do angielskiego, tłumacząc, że to najbardziej przydatny język na świecie. Przez chwilę Maurycy zastanawiał się nawet, w jakim języku rozmawiał z biedronką, ale zaraz przegonił te myśli.

Po południu chodził na basen, poza tym dodatkowo w domu ćwiczył trzy razy w tygodniu: kilka pompek, przysiady, rozciąganie – wszystko to, co zalecił mu trener pływania. Maurycy był sumienny i systematyczny, słuchał rodziców, lubił szkołę. Ot, zwykły chłopak, który stąpał twardo po ziemi. Jednak pewna jego część nie zapomniała rozmów z biedronką, drzewem, mrówką. Czasem wracał do tych myśli, przeganiał je, ale one powracały. Żałował tylko, że nie pamiętał już więcej snów. Wcześniej bywały niezwykle, ale teraz miał wrażenie, że od rozmowy z rodzicami nic mu się nie śni. Przecież wszyscy mieli sny, opowiadali o nich, więc co się stało z jego snami? Dlaczego niczego nie pamiętał?

I wtedy zaczął podejrzewać, że ktoś mu te sny zabiera albo sprawia, że Maurycy ich nie pamięta.

Starał się czujnie zapadać w sen, ale bezskutecznie. Tymczasem dni były coraz krótsze, Maurycy dłużej spał, ale w dalszym ciągu nie pamiętał swoich snów. Miało to swoje konsekwencje: zaczął śnić na jawie. Jego papierowe zwierzęta już naprawdę mocno dokazywały, ptaki szybowały po całym pokoju. Teraz już, nawet gdy ćwiczył, czapla z origami potrafiła sfrunąć z półki i usiąść mu na ramieniu, czasem zawołała jeszcze papugę do towarzystwa. A chłopiec ćwiczył i rozmawiał z nimi, śmiejąc się.

Pewnego razu, gdy Maurycy już naprawdę głośno dokazywał z latającymi przyjaciółmi, do pokoju wszedł tata. Chłopiec bardzo się przestraszył. Tata zwykle pukał przed wejściem do jego pokoju, tym razem jednak tego nie zrobił. Maurycy zastanawiał się gorączkowo, co będzie, gdy tata zobaczy te wszystkie latające ptaki? Zacisnął powieki i znieruchomiał. Otworzył oczy, gdy poczuł, że tata stoi obok niego. Ze zdziwieniem spostrzegł, że większość papierowych ptaków grzecznie przysiadła na półce. Tylko żuraw i dwa motyle leżały na dywanie. Zapewne nie zdążyły się schować.

- Co robiłeś, synku? - zapytał tata. - Byłeś bardzo głośno. Bawiłeś się?

Maurycy patrzył na tatę ze strachem. Oczywiście nie bał się jego, tylko tego, co odpowiedzieć. Nie

wiedział, do czego może się przyznać, a co lepiej przemilczeć. Ale przecież nigdy niczego nie ukrywał przed rodzicami. To znaczy, czasami czegoś nie mówił, ale zapytany, zawsze odpowiadał prawdę. Nie miał powodów do kłamstw.

- Ćwiczyłem tato, jak zwykle. Robiłem te ćwiczenia, które dostałem ostatnio od trenera na wzmocnienie ramion. Trener powiedział, że jak się przyłożę, to na wiosnę mogę być najlepszy z drużyny. Może wtedy wystartuję w zawodach na dużym basenie.

Tata słuchał i nerwowo pociągał za lewy wąs, co było u niego oznaką zdenerwowania. Maurycy zauważył to i rozumiał, że powinien powiedzieć coś więcej. Już nie był pewien, czy fruwający przyjaciele to tylko jego wyobrażenia, czy może rzeczywiście żyją. Bez względu na to, jaka była prawda, lubił ich towarzystwo i wspólne zabawy. I to był jego sekret.

- Tak, ale bardzo głośno ćwiczyłeś - odezwał się w końcu tata. - Pokażesz mi, jak wyglądają te twoje ćwiczenia?

Maurycy zastanawiał się, czy tata widział latające żurawie, które jeszcze przed chwilą krążyły po całym pokoju. Popatrzył na nie, potem na motyle. Wreszcie zdecydował się odpowiedzieć tak, żeby nie skłamać.

- Do nich tak krzyczałem, tato - odparł, wskazując

palcem na papierowe ptaki. – Te ćwiczenia są takie trudne. Zrobiłem sobie publiczność z papieru i gdy brakowało mi już sił, krzyczałem, że dam radę. To mi pomagało.

Tata wciąż pociągał za wąż i bystrym wzrokiem lustrował pokój. Maurycy widział, że najwyraźniej coś mu się nie podobało i był tym bardzo zaniepokojony. Czy tata podejrzewał, że ktoś tu się może ukrywać? Chłopiec wiedział jednak, że jeśli tata nie widział latających ptaków, to on nie mógł nic powiedzieć, żeby go nie przestraszyć.

– Maurycy, synku, zachowywałeś się tak głośno, jakbyś dobrze się bawił. To brzmiało... jakby tu byli twoi koledzy – powiedział tata po dłuższej chwili.

– Ale ja nie mam kolegów, tato. Nigdy nie miałem.

Tata przytulił chłopca i głaskał z czułością po głowie. A Maurycy, wtulony w tatę, opowiedział mu wszystko o latających papierowych ptakach.

